

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

22

— Do pioruna! — syknął apasz, pochylając się nad stołem! Na mój honor! Delrue i ta mała blondynka! Poczekaj trochę! Zaraz się z nimi porachuję!

— Nie rób tego, stary!

— Gadać zdrów. Mnie tu już niema.

Barykada jednym susem był już przy drzwiach. Ale Totor przesłizgnął się koło niego jak wąż i złapał za rękę.

— Nie rób głupstw, stary waryacie! Nie miałeś to dosyć więzienia? Chcesz, żeby cię znowu przegwoździli?

Barykada na te słowa uspokoił się w jednej chwili.

— Bądźmy ostrożni — szeptał dalej Totor. — Oni i tak nam nie ujdą. Wyjdźmy cicho i idźmy za nimi. Czekają nas pewna i dobra gratka.

Totor pociągnął za rękę nie opierającego się apasza i zaczął się ostrożnie skradać za oddalającym się Delrue i jego towarzyszką. Przeszli w ten sposób kilka ulic, poczem wsiedli do omnibusu, następnie do pociągu idącego do Wersalu.

Tutaj doznali silnego wzruszenia. Delrue i Janina le Brenn zamiast, jak przypuszczali, udać się na wycieczkę za miasto, czekali na pociąg idący do Bretanii. Ukryci o kilkanaście kroków, Barykada i Totor śledzili każdy ruch ściganej pary. W chwili, kiedy pociąg już miał ruszyć, ku ogromnemu ich zdumieniu, do przedziału wskoczyła sama tylko młoda dziewczyna. Delrue zaś uśmiechnięty i zadowolony skierował się ku miastu, pogwizdując wesoło i nie przeczuwając nic złego.

Gdy przechodził wąską, ciemną uliczką, prowadzącą do głównego skweru, wyłoniła się nagle z za jakiegoś muru skulona postać małego chłopca.

— Dobrodzieju łaskawy — zaczął prosić jęklącym głosem. — Matka moja umiera z głodu, poratuj nieszczęśliwego.

— Odejdź, bo zawołam żandarma — obruszył się niecierpliwie Delrue.

— Żandarma? Kto potrzebuje żandarma — zabrzmiał tuż przy nim donośny, ochrypły głos.

I zanim się Delrue opamiętał, ciężka ręka spadła na jego ramię, przygniatając go prawie do ziemi. Z drugiej zaś strony mały żebrak uczeplił się jego ręki i krzyczał zjadliwym głosem:

— No, odpędź mnie teraz od siebie! Spróbuj tylko!

Delrue, nieprzytomny z przerażenia, chwiejąc się na nogach, obejrzał się, chcąc wołać ratunku. Lecz już ręka Barykady spoczęła brutalnie na jego ustach i głos zduszony ostrzegająco szepnął mu do ucha:

— Nie waż się krzyżeć! Jedno słowo, jeden krzyk a już będzie po tobie. Scisnę pod gardło jak kurczaka.

Delrue mało nie oszalał z trwogi, poznawszy głos apasza. Wiedział, że teraz już nic go z jego rąk nie wydobydzie. Bez słowa więc, bez tchu dał się biernie pociągnąć w zaułek jakiś, czując zaciskające się coraz silniej potężne ręce Barykady na swoich ramionach.

Obok nich biegł Totor, rzucając przenikliwe spojrzenia wokoło siebie.

— Teraz rozprawimy się obydwaj — mruknął Barykada, stając nagle.

— Aha! — przytaknął Totor, złem okiem patrząc na drżącego przeciwnika. — Niech teraz gada! Niech się tłumaczy.

— Po pierwsze — mówił spokojnie Barykada — gdzie moje pieniądze?

— Pieniądze — wybełkotał Delrue.

— Zapomniałeś, bratku. Czekaj, przypomnę ci.

— Nie trzeba, pamiętam wszystko.

— A widzisz.

— Czego chcecie odemnie?

— Moich pieniędzy — ryknął zniecierpliwiony Barykada.

— Nie mam przy sobie, ale jutro.

— Aha! jutro — pisał Totor — tak będzie, jak wtedy, kiedyś na nas policję sprowadził.

— Przysięgam wam, że nie było w tem mojej winy — tłumaczył się pokornie Delrue. — Policja nadeszła niespodziewanie, szukała całkiem kogo innego.

— Tak? a znalazła nas... zresztą to możliwe — odparł Barykada — ale mnie nie o to teraz chodzi. Dawaj pieniądze.

Delrue zrozumiał, że uparty apasz nie odstąpi

bez niczego. Odetchnął głęboko i wyrzucił jednym tchem:

— Dostaniesz je, przysięgam, że dostaniesz!

— Kiedy?

— Dostaniesz podwójną sumę, rozumiesz! Płacę podwójnie przez wzgląd na tego biednego Kudłacza. Nie pięć, ale dziesięć tysięcy!

— Dziesięć?! Dobrze, zgadzam się — rzekł Barykada już łagodniej — ale gdzie one są?

— Pewnie, że trzebaby najpierw zobaczyć papierki, a potem gadać — podsunął Totor, skacząc, jak małpa, koło swojej ofiary. — Gdzie one są, kochanku?

— W banku, na placu Giełdy.

— Och! coś się psuje, mój mały! Uważaj tylko, czy ty z nas nie żartujesz? — ostrzegł surowo Barykada.

— Myśli, że my tacy głupcy, jak on sam!

— Jeżeli chcecie, możecie mnie na krok nie opuścić i iść ze mną.

— Pewnie, że chcemy! Dobry sobie, myślał, że go wypuścimy z ręki! Zapominasz, z kim masz do czynienia, kochanku!

— Ależ nie! przeciwnie, skoro ciebie potrzebuję jeszcze — odpowiedział uprzejmie Delrue.

— I dlatego podwoiłeś cenę?

— Pewnie, za dobrą robotę, dobra zapłata.

— Dobrze powiedziane, ale ja twojej zapłaty dotąd jeszcze nie widziałem.

— Nie mogłem się z tobą obrachować.

— Nie mogłeś! Proszę! Trzeba było pieniądze przynieść zaraz po sprawie. Porządny człowiek inaczejby nie zrobił!

— Kudłacz był dobrym towarzyszem. Bylibyśmy z nim zawsze doszli do porozumienia. A zresztą nie udało nam się.

— Z twojej winy.

— Z mojej winy? Nigdy w życiu. Powiedźcie lepiej, z winy tego Kermora. Widziałeś go w gabinecie sędziego.

— To twój pryncypał!

— Oh! Nie w tej robocie, wierz mi. Wręcz przeciwnie.

— Więc dlaczego przeszkodziliście nam wtedy obydwaj?

— To on sam. Ja nie.

— Hm! Umywasz ręce od wszystkiego. I co dalej?

— Wychodziliśmy z jakiegoś balu! Hrabia dośłyszał krzyk kobiety wzywającej ratunku... i poleciał. Chciałem temu zapobiedz, ale się nie udało!

— Wiadomo, że nie wiele potrafisz. Ale to wszystko, co tu gadasz, nie wyjaśnia nam wcale, dlaczego jesteś w takich dobrych stosunkach z tą małą, która ci zawadza.

Delrue, który wyszedł dotąd obronną ręką, przełknął się, że teraz wpadnie, bo apasz nie uwierzy w jego wywody i weźmie go za zdrajcę.

Na szczęście Totor, który czuł do niego jakąś okrutną zawiść i podchwytował każde jego słowo, oddalił się na chwilę, wypatrując, czy nie grozi im jakie niebezpieczne spotkanie.

— Z tą małą — zaczął Delrue, starając się mówić swobodnie — to cała kombinacja. Ona stoi na przeszkodzie pewnemu małżeństwu.

— Cóż wielkiego! Trzeba ją usunąć!

— To łatwo do powiedzenia.

— Tobo było już zrobione, żebyś był siedział w domu, z tym swoim głupim hrabią, zamiast nam leżeć w oczy.

— Przyznaję, że przypadek nam tu zaszkodził. Mam pecha, niema co mówić.

— Jak się coś raz nie udaje, próbuje się raz jeszcze...

— Kudłacz już nie żył, a ty...

— A no tak, przymknęli mnie. Ale towarzysze? Ci dla ciebie nie robią, co?

— Nie znałem dosyć pewnych dla takiej roboty, a zresztą, żeby ci prawdę powiedzieć, bałem się.

— To do ciebie podobne, mój zuchu!

— Nie mogąc więc pozbyć się tej przeszkody, wysłałem ją daleko. Uczyniłem to właśnie dziś wieczór.

Przy tych słowach złośliwy uśmiech przemknął po bladych ustach Andrzeja Delrue. Pochylił się do ucha Barykady i szepnął znacząco:

— Uważasz stary, maleńkie, zręczne pchnięcie... ocean głęboki i niemy, nie zdradzi... na brzegach morza tak łatwo o wypadek.

— Pewnie — mruknął apasz — To zabawka dla mnie. Słuchajno Totor — zawołał szeptem na znajdującego się przed nimi chłopaka.

Totor jednym susem był już przy nich.

— Pracujemy dalej z panem Delrue — objaśnił Barykada. — Będziemy zmuszeni wkrótce popłynąć nad morze i zabawimy się tam nieźle.

— Doskonale! Bardzo lubię stone kąpiele!

— Pewnie! Szczególniej kiedy w nich skakać będzie mała żabka, co nam przyniesie pieniądze.

— Kto taki?

— Ta mała blondynka. Pan nam ją powierza.

— No, przecież. Winniśmy jej trochę opieki za tę nieudaną próbę. I za biednego Kudłacza zapłacić należy. Pogadamy z panią jak należy.

— Tak, zapłaci nam za Kudłacza, biedny chłop! — szepnął Barykada wzruszonym głosem — I kiedy to zrobimy, panie Delrue?

— Choćby jutro, jeżeli chcecie! Oddaję ci ją do dyspozycji, Barykado.

— To zawczasie jutro. Ale jakoś się to robi. Wszystko musi być zapłacone w naturze, albo pieniędzmi. Kudłacz zapłacił życiem, takich rzeczy darmo się nie puszcza!

Barykada stopniowo nabierał zaufania do Andrzeja Delrue i zadowolony był bardzo z tego spotkania. Od takiego „żywiciele“, tak bowiem nazywają apasze człowieka, który im daje zarobek do ręki, wymaga się tylko szczerości w robocie. Otóż do tej pory, Barykada był pewnym, że Delrue nie zdradził ich przed policją, a to przekonanie wystarczyło, aby go podnieść w jego oczach. Co zaś do „tej małej“, ona teraz zapłaci za niepożądaną zwłokę, zapłaci za wszystkich; tak już być musi z samego porządku rzeczy. Barykada myślał o jej śmierci z spokojnym postanowieniem.

— Słuchano, Delrue — mruknął apasz, wypuszczając z rąk ofiarę, popatrzo na niego prosto w oczy.

Andrzej Delrue, drżąc z przerażenia, gdyż chodziło tu jeszcze o jego życie, usiłował swobodnie i pewnie spojrzeć na Barykadę.

— Dobrze — rzekł tamten. — Zdaje mi się, że nie kłamiesz i sprawa z tą małą naprawdę leży mi na sercu. Jutro na giełdzie dasz mi moje dziesięć tysięcy, a ja się podejmuję ulżyć twoim strapieniom. Już się o jej przyszłość nie potrzebujesz troszczyć, jest już postanowiona. Jak się nazywa i gdzie mieszka.

— Janina le Brenn, mieszka w Roche-Kermor, osadzie rybackiej w Bretanii.

— Zrobione. I ty naprawdę, bez namysłu mi ją powierzasz?

— Z radością, mój stary.

— Dobrze! Dawaj grabę.

Andrzej Delrue wyciągnął rękę do apasza, który ujął ją w silnym uścisku i wyrzekł poważnie.

— Przyjaźń albo śmierć! — pamiętaj!

Barykada mógł być całkiem spokojnym. Delrue nie czuł w sobie żadnej ochoty do zdrady. Byłby dołożył z ochotą jeszcze kilka tysięcy, aby raz na zawsze być zwolnionym od zmory duszającej go w osobie Janiny le Brenn.

Barykadada wypuścił z dłoni rękę Andrzeja i wyrzekł, uśmiechając się przyjaźnie:

— Że nie masz przy sobie tych pieniędzy, to całkiem zrozumiałe, mój mały. Nie spodziewałeś się spotkać ze mną — prawda?

— To prawda, ale niemniej przez to czuje się uradowany.

— Mądre słowo! Tem lepiej, porozumimy się, jak widzę, Delrue i nie na ten raz tylko. Wiesz, z Barykadą trafisz zawsze do końca, jak będziesz milczał jak karp i uczciwy w interesie. Ale może ty masz trochę pieniędzy przy sobie? Taki pan, jak ty, przecież bez centa nie podróżuje.

— Mam niewiele, pięćset albo sześćset franków.

— Daj mi à conto. Zaraz ułożymy program, co się zowie. Oto, co proponuję: Zanocejemy w lesie, a Totor skoczy po jakie wiktuały — a jutro wracamy razem do Paryża. Co? podoba ci się? Reszta ciebie znowu obchodzi.

Pomimo więc całego zaufania, jakim go Barykada obdarzył, Delrue czuł, że jest jego chwilowym więźniem i zakładnikiem, w razie niedotrzymania umowy. Aż cierpiał na samą myśl, co by się z nim stało, gdyby nie był w możności wypłacenia mu obiecannej sumy.

Totor, uszczęśliwiony z tej nocnej wyprawy, poskoczył, gwiżdżąc wesoło, ku miastu, dzwoniąc pieniędzmi, jakie mu wręczył Barykada.

— Mam przecucie, że się ładnie zabawimy — rzekł apasz, uderzając Andrzeja Delrue w ramię, aż ten się ugiął ku ziemi. Masz ochotę napić się czegoś, mały?

— Pewnie — odparł Delrue — noc jest zimna i czuję jakieś łamanie w kościach.

— Zagrzejesz się zaraz. Wino w Wersalu doskonale, piłem je już nieraz. Potem zdrzemniemy się trochę. Nie potrzebujesz się niczego obawiać. Potrafisz spać jak kot, z jednym okiem otwartym.

Drugim, przyjacielskim uderzeniem w plecy przewrócił towarzysza i sam rzucił się obok niego na trawę. W godzinę później powrócił Totor, niosąc tryumfalnie olbrzymią pieczeń wołową, pasztet